

## 28. NICOLA CHIAROMONTE DO ALBERTA CAMUSA

Paryż, 14 grudnia [1951]

Drogi Albercie,

muszę wyznać, że bardzo trudno mi mówić o *Człowieku zbuntowanym*. Ogromnie podziwiam tę książkę: podziwiam wysiłek myśli wytrwale i z przejęciem kontynuowanej od *Mitu Syzyfa* do *Dżumy*, od *Dżumy* do *Sprawiedliwych* i od *Sprawiedliwych* do tego jakże skrupulatnego studium dialektyki „buntu” i „rewolucji”. Podziwiam najpierw rzetelność i szczerść Pańskiego postępowania. Następnie podziwiam jego jakość, odzwierciedlającą Pana osobowość. Ale kiedy próbuję o tym mówić – mówić o tym Panu – spostrzegam, że ten temat tak bardzo mnie nurtuje, że zdarza mi się wpadać w stan, z którego nie umiem naprawdę wyjść, stan wahania między bardzo szczerą zgodą z Pańskim wywodem a próbami krytyki, które nie prowadzą do niczego wartościowego z tego prostego powodu, że nie mam nic jasnego do zaproponowania. W sumie muszę przyznać, że w obliczu tematu, którym Pan się zajmuje, popadam w rozterkę. I nie mam najmniejszej ochoty się wymądrzać, udawać, że wiem więcej, niż wiem, czy ściśle – udawać, że doszedłem do jakiegoś rozwiązania, bo wcale tak nie jest.

Na końcu Pańskiego studium nihilizmu szkicuje Pan definicję „miary” – z żadną inną próbą takiej definicji nie mógłbym bardziej sympatyzować. Początek „granicy” znajduje Pan w zabójstwie – to znaczy w momencie, kiedy uprawniona namiętność człowieka przemienia się w abstrakcyjną wolę. Trudno o bardziej konkretną wskazówkę i bardziej stanowczą obiekcję. Intelktualista „nihilista”, do którego się Pan zwraca, zmuszony jest przyznać, że nie może ominąć Pańskiej redukcji

nihilistycznego buntu do religii konieczności (historycznej). Pańskie pytanie odnosi się – mam wrażenie – nie tyle do ideologii i postaw, ile do jednostki, która je wyznaje i bierze za nie odpowiedzialność – a jest to pytanie bardzo mocne, ponieważ stawia Pan jednostkę wobec jej rzeczywistej odpowiedzialności – konsekwencji jej „dumy”, jak Pan to celnie ujął. Dobrze rozumiem, że kiedy wskazuje Pan zabójstwo jako granicę, przed którą duma powinna się ukorzyć, to nie chce Pan bynajmniej czynić z tej admonicji jakiejś teorii „nieprzeciwstawiania się złu”. Wydaje mi się, że domaga się Pan – co o wiele prostsze i bardziej radykalne – rzeczywistości świata, któremu nihilista w swym znudzeniu i obrzydzeniu przypisuje jedynie wartość sennego koszmaru. Chodzi więc o świat: o „kosmos” – p o r z ą d e k świata, który dla Greka był podstawą świętości, ponieważ był dla niego tym, co „jawi się” w zjawiskach, a zarazem tym, co w nich i p o p r z e z nie pozostaje wiecznie niewidzialne.

I w tym momencie (tęsknoty za Grecją) przerywam. Ponieważ czuję, że staję się nie tylko „nieautentyczny”, lecz także z konieczności „intelektualny”, to znaczy skłonny zadowolić się „kontemplacją” i abstrakcją – nie odczuwając przy tym tej wściekłej i jaskrawej pasji dla „nadprzyrodzonego”, którą tak podziwiam u Simone Weil<sup>71</sup>. A przecież od takich horyzontów czujemy się oderwani, gdy próbujemy odpowiedzieć radykalną odmową na wezwanie „historii” i jej mistycznych mroków. Ale jeśli nie ma się właśnie religijnego poczucia tego porządku, to jak można go afirmować?

Jednocześnie jest coś w obecnej sytuacji (czy impasie), co sugeruje, jak mi się zdaje, że czasy „morałów” i „kaznodziejstwa” się skończyły i że jedyne skuteczne przykłady mogą nam dać ludzie naprawdę twórczy, to znaczy dbający wyłącznie o to, by pokazać, a nie zmusić – wydaje mi się, że o to właśnie chodzi na stronicach, jakie poświęcił Pan sztuce.

W Pańskiej książce podziwiam nade wszystko namysł nad możliwością nowoczesnego sensu tragizmu – sensu, który utraciliśmy przez chrześcijańską „herezję” i którego ostatecznym zaprzeczeniem jest „nihilizm”. Pytanie mogłoby więc polegać na tym, czy można osiągnąć poziom „tragizmu”, zachowując postawę „buntu”, jaką Pan opisuje i w której rozpoznaję ostatni, ale trwały ślad romantycznej odmowy bytu świata. Ale z drugiej strony nie jest wcale pewne, czy tacy, jacy jesteśmy, możemy autentycznie doświadczyć konfliktu tragicznego – który jeśli nie jest ukojeniem, to przynajmniej „uwolnieniem”.

No cóż, to Pańska twórczość artystyczna odpowie na te pytania.

Z wielką przyjaźnią  
Pański  
Nicola

#### 29. NICOLA CHIAROMONTE DO ALBERTA CAMUSA

20 maja [1952]

Drogi Albercie,

uważnie przeczytałem artykuł pana Jeanson<sup>72</sup>. Wydaje mi się tyleż irytujący w arogancji tonu, co rozwlekły i słaby w argumentacji. Pańscy przyjaciele ucieszą się jednak, że się ukazał, jeśli pozwoli Panu zwrócić w dyskusji uwagę na wciąż niejasne stanowisko redakcji „Temps modernes” w wielu sprawach.

Wydaje mi się, że w *Człowieku zbuntowanym* usiłował Pan bardziej usytuować i postawić niż rozwiązać zasadniczy problem naszych czasów, mianowicie problem wartości i sensu ludzkiego życia w świecie, skąd (przynajmniej na płaszczyźnie wydarzeń publicznych) znikła, jak się wydaje,

jakakolwiek możliwość autentycznej wiary – a więc i s w o - b o d n e j więzi między ludźmi w poszukiwaniu s e n s o w - n y c h celów, gdzie zatem wszystko (wszelki stan faktyczny, wszelkie uświęcone bożyszcze) jest ważniejsze niż s a m o z w y k ł e życie człowieka.

Pan Jeanson lekceważy – lub neguje – istnienie problemu. To wygodne.

Mnie się wydaje, że problem „logicznego zabójstwa” – tak jak Pan go stawia – nie jest bynajmniej luksusem umysłu „kontemplującego z góry”, lecz stoi przed nami bardzo konkretnie (powiedziałbym nawet „historycznie” i „egzystencjalnie”) od 1914 i 1917 roku.

Dla świadomej jednostki, która się „zaangażowała” (lub została siłą zaangażowana) w rozmaite fabryki rzezi i poniżeń tworzące „system” naszej cywilizacji, pytanie brzmi: czy wobec historii wymagającej w s z y s t k i e g o i niedotrzymującej żadnej obietnicy ładu ani szczęścia trzeba nadal postępować tak, j a k g d y b y istniały jeszcze historyczne bożyszcza (państwo albo partia), godne nie tylko tego, by się dla nich poświęcić, lecz także by uznać je za jedyny możliwy sens ludzkiego życia (lub nawet powiedzieć: „To, bo wszystko jest gorsze”, jak mówi komunista u Jeana Pouillona w tym samym numerze „Temps modernes”). Po takim doświadczeniu pewna liczba ludzi, za cenę osamotnienia, zwątpienia i bezczynności, odpowiada na to pytanie: n i e. Ci, którzy otwarcie bądź po jezuicku ośmielają się odpowiedzieć: t a k, muszą to bożyszcze nazwać i udowodnić jego świętość. Odpowiedzi przez powoływanie się na a u t o r y t e t Hegła czy Marksa nie załatwiają sprawy. Jest oczywiste, że chodzi tu o wybór między „herezją” i „ortodoksją”. To, od czego „heretycy” się odcinają, to (między innymi) „sens historii”, a przede wszystkim ta dziwaczna idea, wedle której życie miriad istot ludzkich miałoby sens nie tylko jednoznaczny,

lecz także o b o w i ą z k o w y. Czyli że oznajmienie tego sensu ustami ideologów, stronników i dyktatorów miałyby być o b o w i ą z k i e m uczciwego człowieka w danym momencie. Od tego momentu historia jest historią doktorów i indoktrynowanych, panów i niewolników. Panowaniem „łajdaków”, że użyję języka Sartre’a.

Nie mówiąc już o innej, jeszcze bardziej dziwacznej idei, wedle której jeśli podważa się pewne „spojrzenie umysłu” na historię, to tym samym traci się kontakt z „rzeczywistością”, odgrywa się rolę „pięknoducha” i zdradza głodujących.

A przecież dogmat tej historii, który pan Jeanson myli z rzeczywistością, zakłada u tych, którzy go szczerze podtrzymują, niemały optymizm co do ostatecznego końca tejże historii. Odnotujmy, że przeciwko temu finalnemu optymizmowi ukształtowało się od *Kandyda* – jeśli nie od *Mysli* – to, co nazywamy „nowoczesnością”. Czy pan Jeanson ten finalny optymizm podziela? Czy wierzy w skok do królestwa wolności? Czy wierzy w postęp, to jest w o b i e c u j ą c y charakter historii w ogóle, a historii o b e c n e j w szczególności? Jeśli w to wierzy, to dlaczego tego nie mówi i trochę nie wyjaśni, skoro może to zrobić? A jeśli nie wierzy, to o czym opowiada?

Poza tym pan Jeanson nie ma dość pogardy dla tych, którzy pozwalają sobie „patrzeć z góry” i osądzać bieg wydarzeń.

Łatwo sobie wyobrazić pana Jeansona, jak poucza księcia Andrzeja leżącego na polu pod Austerlitz: „Temu, kto patrzy na nią z góry, krzątania ludzi na ziemi może się wydawać daremna, ale jeśli chce Pan wiedzieć...” itd., itp., zob. s. 2074 w „Tems modernes”, r. 7, nr 79.

Przypomnienie Tołstoja wydaje mi się tutaj stosowne. Bo to przecież Tołstoj pierwszy ogłosił, że „obecny świat jest zbudowany na zabójstwie”. A ogłosił to nie z powodu swego filantropijnego sentymentalizmu, ale dlatego, że widział aż

za dobrze, do jakiego stopnia doktorzy i pasterze ludów stali się niezdolni do zatrzymania się na „tej ostatniej granicy, z jaką zderza się umysł ludzki w każdej dziedzinie myśli, kiedy nie ogranicza się do igrania ze swoim przedmiotem... niedostępną esencją życia” – (konkluzja *Wojny i pokoju*) – i nawet jej sobie nie wyobrażają. Ale też do jakiego stopnia sam człowiek stał się „głupcem” niezdolnym się bronić. Tołstoj był chyba optymistą (ale nie u kresu życia), gdy wierzył, że w chrześcijańskich korzeniach społeczeństwa zachodniego znalazł punkt, w którym człowiek mógł się sprzeciwić „logicznemu zabójstwu”. Teraz wiemy, że bynajmniej tak nie jest i że w obliczu bezwładu historii człowiek stoi absurdalnie bezbronny i nie do usprawiedliwienia. Czy ta konstatacja jest tak znowu odległa od tych, które swego czasu przynosił nam Sartre? Raz jeszcze od tego trzeba by wyjść i pokazać nam autentyczną wiarę i dające się zaakceptować i zrozumieć zadanie, od jakiego „pięknoduchy” dzisiaj się wymigują – bądź też wytłumaczyć nam, że myliliśmy się od początku do końca i że przedustawna harmonia między pewnymi teoretycznymi konstrukcjami i biegiem rzeczy nigdy nie została zakłócona.

Pozwoliłem sobie przekazać Panu moje reakcje czytelnika na pensum pana Jeanson. Nie powinienem jednak być nietaktowny.

Czego chcę – i na co niecierpliwie czekam – to przeczytać Pańską odpowiedź.

Oddany

Nicola